

# Dlaczego Podhale nie pamięta?

Na Podhalu prawie nikt nie zna historii zbrojnych ataków na powojenne żydowskie sierocińce w Rabce i Zakopanem. Do dziś czci się osoby, które za atakami stały - ks. Józefa Hołoja i Józefa Kurasia „Ognia”. Nie ma żadnego śladu po tamtych wstrząsających wydarzeniach - prof. Magdalena Smoczyńska nie może się z tym pogodzić.

**- Jak to się stało, że zainteresowała się pani sprawą żydowskich sierocińców na Podhalu i postacią Leny Kichler, która zorganizowała sierociniec w Zakopanem i kierowała nim?**

- Przez lata jeździłam do Rabki, do Domów Pracy Twórczej Stasin i Niemen, należących do Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tam z mężem odbyliśmy podróż poślubną, tam pisałam doktorat, a potem kilka razy jeździłam na wakacje z dziećmi. Nie miałam pojęcia, że zaraz po wojnie, w lecie 1945 r. w tych właśnie budynkach był dom dziecka dla chorych dzieci żydowskich. Przeczytałam o tym w 2016 r. w Gazecie Wyborczej. Wtedy też dowiedziałam się o atakach zbrojnych na te sieroty, za którymi stali młodzi rabczańscy partyzanci licealiści, a zarazem harcerze - zainspirowani do ataków przez swego katechetę ks. Hołoja. To mną wstrząsnęło: Jak to możliwe, żeby po tym, co się stało z Żydami w latach wojny, ksiądz katecheta, a zarazem opiekun drużyny harcerskiej wysyłał na te strauumatyzowane, ledwie żywe sieroty nieletnich polskich współobywateli z granatami i bronią palną? Ale za rzecz zupełnie haniebną uważam czczenie pamięci tego człowieka jako wybitnego patrioty, stanowiącego wzór dla młodzieży, przez lokalne społeczeństwo Rabki, włącznie z przedstawicielami Kościoła oraz harcerzami z kultowej miejscowej drużyny. Wydało mi się to tak horrendalne, że postanowiłam coś z tym coś zrobić.

**- I co pani zrobiła?**

- Jestem naukowcem, więc przede wszystkim musiałam się dowiedzieć czegoś więcej. Przystudiowałam artykuł historyczny Karoliny Panz w piśmie "Zagłada Żydów" o antyżydowskiej powojennej przemocy na Podhalu pt. *Dlaczego oni, którzy tyle przecierpieli i przetrzymali, musieli zginąć?*", bo to na nim oparł się autor publikacji prasowej w GW. Zapoznałam się z obszerną dokumentacją skrupulatnie zebraną przez Panz. Przede wszystkim zetknęłam się z postacią Leny Kichler, która od razu wydała mi się postacią niezwykłą - dużo bardziej godną uwagi niż ten straszny katecheta-antysemita. Od razu kupiłam w Amazonie jej książkę „My hundred children”. Następnie udało mi się dotrzeć do świętego pełnometrażowego dokumentu pod tym samym tytułem, nakręconego w 2003 r. przez dwie izraelskie reżyserki: Oschrę Schwartz i Amalię Margolin.

Zamieniłam się w detektywa, zaczęłam szukać w internecie, grzebać w polskich archiwach, ustalać rzeczywiste personalia osób. Bardzo pomogła mi w tym Karolina Panz, która widząc moje opętanie sprawą Leny i jej dzieci, wspaniałomyślnie udostępniła mi zgromadzone materiały i udzieliła licznych rad i wskazówek. Im więcej dowiadywałam się o Lenie Kichler, tym bardziej byłam zaskoczona, ile nas łączy. Stwierdziłam, że szkoda mojego życia na zajmowanie się księdzem Hołojem. Niech mu ziemia lekką będzie - jeśli może. A tablice niech zdejmą ci, którzy je powiesili. Może uczynili to w dobrej wierze, może brali za dobrą monetę grubymi nićmi szyte fałszywe wersje wydarzeń rozpowszechniane przez sprawców napadów i ich rodziny. Ja związałam się z Leną.

**- Proszę powiedzieć coś więcej o niej.**

- Lena Kichler była prawdziwą bohaterką, to ona uratowała żydowskie sieroty, wywożąc je z Zakopanego. Wcześniej stworzyła im świetne warunki w zakopiańskim „Leśnym Grodzie”, była dla nich matką. Z wykształcenia była psychologiem i pedagogiem, studiowała na UJ w latach 1929-1934. Została nauczycielką w żydowskiej szkole w Bielsku, tam wyszła za mąż. W czasie

wojny byli początkowo we Lwowie, tam straciła zaraz po porodzie córkę z powodu głodu, jeszcze za sowieckich czasów. Po wkroczeniu Niemców do Lwowa Lena z mężem uciekli do Warszawy i rozłączyli się. Ukrywała się po aryjskiej stronie, wchodziła jako aryjka do getta i kilka razy wynosiła lub wyprowadzała zeń dzieci. Kilka razy była aresztowana, gdy zwiedzili się o niej szmalcownicy, postarała się o pracę niani czy guwernantki we dworze na Podlasiu. Tam dotrwała do wkroczenia Rosjan.

Po wojnie, szukając młodszej siostry Feli, pojechała do rodzinnego domu w Wieliczce. Mężczyzna, który wyszedł z głębi mieszkania, pobił ją i zrzucił ze schodów. Leżała na bruku na Górnym Rynku w Wieliczce, gdzie przeżyła większość swego życia, ale nikt jej nie pomógł, nawet nie zwrócił na nią uwagi. Pojechała do Krakowa. Tam odnalazł ją brat, który wrócił z Rosji. Załamała się, gdy wyszło na jaw, że Felę zamordowali Niemcy na parę dni przed końcem wojny. Żeby się wydobyć z rozpacz, zaczęła robić doktorat u Szumana. Trafiła jednak do Komitetu Żydowskiego przy ul. Długiej 38. Tam zobaczyła ocalałe sieroty. Były chore, brudne, zawszone i głodne. Starsi chłopcy, którzy nauczyli się, jak sobie radzić, żeby przeżyć, bez żadnej kontroli, rozbijali się po ulicach Krakowa. Prowizoryczny komitet żydowski pełnił pilne zadania związane z udzielaniem elementarnego wsparcia powracającym z obozów setkom ludzi, co przekraczało możliwości finansowe, lokalowe i kadrowe tej placówki. Dzieci spały na zawszonych siennikach i na schodach. W nocy niósł się po budynku jeden wielki szloch - płakały na jawie i we śnie. Lena wdepnęła w sam środek tego dziecięcego infernum. Porzuciła doktorat z psychologii dziecka i postanowiła się poświęcić dzieciom, dać im namiastkę normalności. Natychmiast włączyła się w prace komitetu, który od pewnego czasu próbował coś wynająć w Rabce i Zakopanem, żeby zorganizować tam domy lecznicze dla dzieci. Ale miejscowi nie mieli ochoty na żydowskie dzieci, skoro Żydów już tam nie było. Wreszcie udało się wynająć na rok, z możliwością przedłużenia, „Leśny Gród” i trzy wille w Rabce.

Lena opracowała plan potrzeb kadrowych, finansowych, w zakresie wyżywienia, wyposażenia. Miał to być dom, a nie nora, buda, jama, w których większość dzieci spędziła poprzednie kilka lat. Czystość, porządek, higiena, zdrowie, a nie brud, wszy i ropiejąca skóra. Dzieci miały mieć swoje własne szafki na swoje prywatne rzeczy. Ta drobna, śliczna zresztą, 35-letnia kobieta miała niesamowity power, nie było dla niej rzeczy niemożliwych. Dla dzieci była w stanie załatwić wszystko. Chodziła po urzędach, wyrzucali ją, to siedziała tak długo, dopóki nie uzyskała tego, co chciała dostać. Spod ziemi wydobywała pieniądze - z legalnych i nielegalnych źródeł.

Rabka ruszyła już w czerwcu, a ona z pierwszą grupą dzieci i z zatrudnionym przez siebie personelem trafiła do Zakopanego 11 lipca 1945 r. Młodsze dzieci mówiły do niej „mamo”, starsze - „pani kierowniczo”. Kochały ją wszystkie, była osobą niezwykle empatyczną, bardzo emocjonalną. Nigdy na żadne dziecko nie krzyknęła, nie uderzyła go. A nie były to łatwe dzieci. Podchodziła do każdego indywidualnie, zgodnie z nowatorską wtedy teorią wychowawczą Korczaka, ale i jego koncepcji nie stosowała sztywno. Słuchała dzieci i uczyła się od nich, próbowała im pomóc w sformułowaniu i realizacji własnych celów, własnych marzeń. A tym starszym, pozbawionym zasad moralnych i uczuć wyższych wskutek okrucieństw, których byli świadkami, ofiarami, a niekiedy i uczestnikami - starała się przywrócić wiarę w człowieka.

Wśród dzieci były ciężkie przypadki gruźlicy, dzieci, które niemal nie opuszczały infirmerii. Dlatego w zakładzie musiał być lekarz rezydent i pielęgniarka. Do tego konsultacje cięższych przypadków u zakopiańskich specjalistów, którzy w większości nie byli skorzy do opieki nad żydowskimi sierotami. Klimat był niesprzyjający. Na tym tle odcina się świetlana postać doktora Kazimierza Dąbrowskiego - specjalisty pulmonologa, który nie tylko chętnie służył dzieciom Leny wysokiej klasy specjalistyczną konsultacją, ale gdy na początku marca 1946 roku „Leśny Gród” znalazł się bez lekarza rezydenta, poproszony o pomoc, zobowiązał się, że będzie ordynował w domu dziecka trzy godziny dziennie.

Po atakach na sierocińce najpierw w Rabce, a potem w Zakopanem, za którymi stał Ogień, dzieci nie mogły czuć się bezpiecznie na Podhalu. Zresztą już wcześniej nie były tu mile widziane. Były problemy, żeby je zapisać do szkoły, niektórzy nauczyciele traktowali je wrogo, zdarzały się pobicia ze strony miejscowych dzieci, częste było wyzywanie na ulicy. Do tego

dochodziły jednoznacznie formułowane pogróżki w podrzucanych przez ludzi „Ognia” ulotkach, gdzie mowa była wprost o mordowaniu. Dlatego Lena w tajemnicy przed wszystkimi, nawet przed Komitetem Żydowskim w Warszawie i w Krakowie, a także swoimi zwierzchnikami w kuratorium, postanowiła dzieci wywieźć z Polski. Nawiązała kontakt z kobietą reprezentującą organizację ortodoksyjnych Żydów, Rechą Sternbuch, która obiecała załatwić niezbędne (fałszywe) dokumenty, przekupić pograniczników i załatwić transport przez Czechy do Francji. W ostatnich dniach przed wyjazdem Lenie udało się odebrać od sióstr z Księżówki pięcioro małych żydowskich dzieci niewiadomych rodziców, ocalonych z warszawskiego getta, dla nich nie było paszportów. Na granicy najmłodsze dzieci zostały uśpione i schowane w plecakach, niesionych przez nastolatki. Do tego, żeby pogranicznicy nie mogli wykryć rozbieżności w liczbie paszportów i osób, Lena dyskretnie zarządziła wśród dzieci ogólne siusianie w trakcie kontroli. W końcu wszystkie 72 osoby dotarły do Francji. W Meudon pod Paryżem spędziły kolejne 3 lata. Dzieci pokończyły szkoły, nauczyły się zawodu, języków obcych - i dorastały. Nadal wszyscy tworzyli jedną wielką rodzinę. Wiosną 1949 r., po powstaniu państwa Izrael, cały dom dziecka wyruszył do Izraela. Lena znalazła wszystkim dzieciom miejsce w kibucu Kvutzat Schiller, gdzie otoczono je bardzo dobrą opieką.

Tak skończyła się jej czteroletnia misja, a ona sama mogła zająć się własnym życiem. Pracowała w poradni jako psycholog, prowadziła wykłady z resocjalizacji. Wydała 4 książki, opisujące jej pracę z ocalałymi dziećmi. W Izraelu wyszła powtórnie za mąż. W wieku 47 lat urodziła córkę Shirę. Uważała to za prezent od losu. Kontakt ze „swoimi dziećmi” utrzymywała do końca życia. Przedstawiali jej narzeczonych, prowadziła ich do ślubu, była babcią ich dzieci. Zmarła w 1987 roku. Jest postacią od dziesiątków lat świetnie znaną w Izraelu. Przyznano jej honorowy tytuł Izraelskiej Matki. W Tel Awiwie nazwano jej imieniem ulicę. U nas, w Polsce, jest kompletnie nieznana.

**- Poznała pani córkę Leny Kichler, dotarła pani także do wychowanków z sierocińca w Zakopanem.**

- Tak, Shirę Toren, która jest nowojorska graficzką, poznałam na samym początku, już w 2016 r., dzięki reżyserce wspomnianego dokumentu Oshrze Schwartz. Za ich pośrednictwem dostałam pierwsze kontakty do „dzieci” mieszkających w Izraelu - oni polecali mi sobie wzajemnie, zaświadczała, że jestem OK. Tak trafiłam do kolejnych osób. Dotarłam też do Archiwum Kibucu Bojowników Getta, gdzie Shira zdeponowała spuściznę Leny, i tam znalazłam wspaniałych przyjaciół, którzy mi wciąż pomagają. Potem polecałam na 6 tygodni do USA, gdzie spotkałam się z kilkorgiem „dzieci” na wschodnim wybrzeżu i w Kalifornii, a także odwiedziłam Shirę. Wreszcie zorganizowałam sobie dwutygodniowy pobyt we Francji, gdzie spotykałam się z dziećmi lub - gdy już ich nie było wśród żywych - z ich dziećmi („wnukami Leny”), a także studiowałam materiały archiwalne.

Około 40% dzieci Leny już nie żyje. Chyba z 30 spośród jej dawnych podopiecznych udało mi się spotkać osobiście. Z częścią miałam kontakt telefoniczny. Niektórzy odmówili rozmowy, nie chcą wracać do tych wydarzeń, za dużo ich to kosztuje psychicznie. Są tacy, których wciąż szukam. Dzieci Leny mieszkają głównie w Izraelu, ale część trafiła do USA, Kanady, Francji, Anglii czy Brazylii.

**- Niecałe dwa tygodnie temu zobaczyliśmy w TVN reportaż Wojciecha Szumowskiego, w którym pani rozmawia z dwiema z tych osób. Z tego dokumentu wielu widzów po raz pierwszy usłyszało o atakach na sierocińce żydowskie na Podhalu. Nie zamierza jednak pani na tym skończyć. Piszecie pani książkę - o czym ona będzie?**

- Na początku miała być to książka o Lenie Kichler, ale po spotkaniach z jej wychowankami, którzy w założeniu mieli mi tylko dostarczyć materiału do jej biografii, bardzo wciągnęły mnie ich relacje, nie tylko z powojennej przygody z Leną, ale też o tym, co przeżyli w czasie Zagłady i jak potoczyło się ich życie potem. Uznałam, że nie mogę pisać o niej, nie pisząc o nich. Tytuł roboczy to "Lena i jej dzieci". To będzie taka książka reporterska o szukaniu przede mną dzieci Leny, też o warsztacie „detektywistycznym”, o odkrywaniu ich historii, o niezwykłych zbiegach

okoliczności, a w tle o moich przedziwnych osobistych związkach z Leną, których, przyznam się, do tej pory nie rozumiem.

Niektóre z tych osób do dziś nie wiedzą tak naprawdę, kim są, nie wiedzą, kim byli ich rodzice, inni, zwłaszcza ci młodszy, nie znają początku swojej historii, nie mają też żadnych zdjęć z dzieciństwa. Niektórym pomagam w odkrywaniu tożsamości. Zdarza mi się odszukać w archiwum zdjęcia rodziców, których nigdy nie mieli. To są takie bardzo emocjonujące momenty, kiedy ja się czuję jakimś posłańcem z ich dawnego, nieosiągalnego świata, który - nie ze swej winy - utracili. I nie bardzo wiem, kto mnie posłał.

**- Co jeszcze - pani zdaniem - można zrobić dla nich?**

- Najważniejsze, że ci ludzie jeszcze żyją i przede wszystkim trzeba się do nich pilnie odezwać, dać im jakiś znak z Polski. Żeśmy się o tym dowiedzieli i że to straszne, co się z nimi wtedy stało. I coś takiego po materiale w Superwizjerze dzieje się teraz w mediach społecznościowych.

A co zrobić w płaszczyźnie społecznej? Przede wszystkim w Zakopanem i Rabce powinny zostać oznaczone miejsca związane z dramatyczną historią tych sierocińców. Lena Kichler nie tylko uratowała swoim dzieciom życie, wywożąc je, zanim „Ogień” przeszedł do bardziej zdecydowanych działań, ale Bogiem a prawdą Zakopane powinno jej być wdzięczne, że ocaliła je w ten sposób przed strasliwym piętnem zbrodni na niewinnych dzieciach. Zbrodni, która nie tylko mogła być się wydarzyć, ale w świetle innych akcji „Ognia” i jego całkiem konkretnych gróźb była nader prawdopodobna.

Budynki w Rabce, gdzie były sierocińce, należą dziś do UJ. Moim zdaniem przed budynkiem powinna być duża tablica informacyjna, po polsku, po angielsku i po hebrajsku, mówiąca o tym, że wiemy, że takie wydarzenia miały miejsce, że to było tutaj. W środku - w jednym czy drugim budynku UJ - można by zrobić jakieś miejsce ze zdjęciami z tamtego czasu, z jakimś opisem wydarzeń, może z książką pamiątkową - żeby ludzie z UJ, którzy tam przyjeżdżają pracować czy wypoczywać, mogli się spotkać w przyjaznym otoczeniu z gośćmi żydowskimi i zwyczajnie, jak ludzie, porozmawiać.

W Zakopanem w willi Leśny Gród jest dziś Szkoła Podstawowa nr 5, która nosi imię Janusza Korczaka. Ja uważam, że do tego imienia można by dodać imię Leny Kichler - oni świetnie do siebie pasują. Mógłby tam np. powstać mural ze zdjęciem pokazującym, że żydowskie sieroty miały tu swój dom, że to był dla nich szczęśliwy czas mimo tych ataków. A jak przyjeżdżają te grupy izraelskie, to szkoła ich uprzejmie wpuszcza, ktoś im wskazuje miejsce i znika bez słowa. Byłam raz z taką grupą i widziałam, jak oni, siedząc na ławkach pod zdjęciami polskich noblistów, słuchają barwnej opowieści przewodniczki. Nie wiem, czemu nobliści muszą zdobić wejście do szkoły im. Korczaka, ale gdyby zamiast nich zrobić tam coś w rodzaju izby pamięci, zaznaczyć, że szkoła wie, że tu kiedyś był przez 8 miesięcy żydowski sierociniec, to w sposób naturalny osoby z grona pedagogicznego czy uczniowie mogliby się do tego w jakikolwiek normalny, ludzki sposób odnieść. A tak to tylko milczenie i zażenowanie. A dlaczego niby mamy być zażenowani czy zawstydzeni, że jakiś bandyta 75 lat temu chciał wystrzelać dzieci w Zakopanem, czy że katolicki ksiądz, któremu się antysemityzm pomylił z patriotyzmem, szczerł jednym niedorośliwym ludzi na drugich? To przecież było dawno temu. Ale wstydem i hańbą okrywa nas to, co robimy, albo czego nie robimy teraz. Że milczymy, zamiast spojrzeć im w oczy. Że pozwalamy ludziom okrutnym i niegodnym, żeby gloryfikowali sprawców tamtych wydarzeń. Tak, to jest wstyd. Straszny wstyd. I może nie powinniśmy czekać, aż ci, co te upamiętnienia ludzi niegodnych zainstalowali, sami je zlikwidują. Może trzeba to na nich przy użyciu silnej presji społecznej wymóc. A że władze państwowe na to pozwalają? Czasem się nad tym zastanawiam, ale jednak się nie wypowiem w tej kwestii. Dziwne, bardzo dziwne.

...

**Magdalena Smoczyńska** - ur. 1947, dr hab., psycholingwistka, psycholog dziecięcy, wieloletni pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, a w ostatnich latach profesor Instytutu Badań

Edukacyjnych w Warszawie i Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Obecnie na emeryturze.

#### RAMKA I

Tuż po wojnie powstały na Podhalu dwa sierocińce dla żydowskich sierot, które przeżyły Holocaust. W Rabce mieścił się on w willach Niemen, Stasin i Juras, a w Zakopanem w willi Leśny Gród. Pierwsze dzieci przybyły do Rabki 7-8 czerwca 1945 r., do Zakopanego - 11 lipca. Wszystkie ocalałe dzieci przeszły straszliwe traumy, ale na Podhalu trafiły dzieci dodatkowo najbardziej schorowane, z gruźlicą i innymi poważnymi schorzeniami i kalectwami. Sierociniec w Rabce, zaplanowany na całoroczny, musiał jednak zostać zamknięty po niecałych 3 miesiącach, po tym, jak w sierpniu 1945 r. nastąpiły trzy zbrojne ataki. Szczęśliwie nikt w nich nie zginął. 25 dzieci trafiło do Zakopanego, pozostałe do innych domów dziecka w całej Polsce. Zakopiański sierociniec przetrwał „aż” 8 miesięcy. Po wydarzeniach w Rabce w Leśnym Grodzie zorganizowano zbrojną ochronę, wyposażono budynek w karabin CKM, race sygnalizacyjne, a starsze dzieci przećwiczone w posługiwaniu się bronią. Dzięki temu udało się odeprzeć atak „Ognia” i wezwać posiłki z posterunku milicji. Problemy jednak się nie skończyły. Lena Küchler, kierowniczka zakopiańskiego domu dziecka, wobec podrzucanych do zakładu ulotek zawierających jednoznaczne groźby pod adresem dzieci, nawiązujące do już wykonanych przez bandę „Ognia” w lutym 1946 r. głośnych morderstw na Żydach, zdecydowała się na potajemne wywiezienie dzieci z Polski do Francji. Stamtąd, trzy lata później, trafiły do nowo powstałego państwa Izrael.